(N. 3.)

DZIENNIK WILEŃSKI

ROK 1826. MARZEC.

Dozwala się drukować. Dnia 16 marca 1826 roku.
Z polecenia JW. Wojennego Gubernatora Litewskiego.
Andrzey Bucharski Rzeczywisty Radca Stanu i Kawaler.

W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

B O B, powieść wyjęta z dzieł P. Zschokke, przez *N. K.*

Byłem w rozpaczy. Od czasu, jak miłość poczęła bydź znaną, nikt nigdy nie czuł podobney, mówił, w pewném zgromadzeniu P. Walter, młody bankier. Zbiegałem cały Wiedeń; w każdey kompanii i okoliczności, po wszystkich nawet biórach policyi, opisywałem, jak można, naydokładniey Pannę *Farnau*, jey ciotkę i służącą, nikt wszakże nie mógł mi dać żądaney wiadomości: gdzie się ona znayduje. Nie szczędzono mi porady, to prawda: bo ta nic nie kosztuje; jeden mię odsyłał szukać bóztwa mego tam, drugi ówdzie.

Lecz jey nie było już w Wiedniu. Chociaż mi o tém wyraźnie powiedziano w hotelu, w którym mieszkała; chociaż zaymowałem tenże pokóy, co ona, w czasie swego pobytu; nie przestawałem jednak jey szukać. Zwiedziłem kościoły, sale zabaw, teatra, słowem: wszelkie publiczne mieysca; próżne starania. Bożyszcze moje znikło.

Strapiony, opuściłem Wiedeń i powróciłem do domu wśród zimy, w naystraszliwsze mrozy.

Abym wam dał poznać dziwne moje zdarzenie, powinienem opowiedzieć, jakim sposobem poznałem Pannę *Farnau*. Dowiecie się rzeczy nadzwyczaynych: lecz w miłości wszystko jest romansem.

Przed trzema laty, interesa sprowadziły mię do Wiednia, gdzie spadnienie bankowych pa-

pierów, groziło mi cięžką stratą. Potrafiwszy uniknąć tey klęski, chciałem korzystać z okoliczności i obeyrzeć to wszystko, cokolwiek stolica Austryi nayciekawszego w sobie zawiera; mniemałem bowiem, że już może nigdy w niey nie będę.

Pozaznajamiano mię w wielu mieyscach; wszędzie dobrze byłem przyjęty, a nawet w niektórych domach, szczególnieysze okazywano mi względy. Wiedziano, żem nie był żonaty. Nazwisko mey familii, korzystnie było znane. Mówiono o mnie: to ten bogaty bankier; każdy mię zwał P. Walterem.

Dziwactwo charakteru mojego oyca, który skądinąd naylepszym był człowiekiem, nie pozwalało mi myśleć o związkach małżeńskich. Większą przeto miałem wolność, ubiegania się o względy, raz jedney, to znowu inney piękności. Wszystkie mi były lube, lecz nie chciałem, ani też mogłem kochać któreykolwiek.

Spodziewają się także Panny Farnau, rzekła raz, w pewney kompanii podeszła Dama, przy mnie, do młodszey osoby, siedzącey z drugiey strony.

Jak ona jest dobra i kochana! odpowié sąsiadka. Mogłaby nawet uchodzić za piękną, gdyby nie ta straszliwa ułomność.

Ach! odpowié Dama podeszła, mówisz o tém znamieniu, które ma na piersiach, tuż pod szyją? Powiadają, że jest podobne do myszy.

Do myszy! przepraszam Panią, gdyby tylko to, nie miałaby potrzeby zasłaniać gorsu aż do podbródka, jak mniszka. Nie, znamie to

zupełnie ma postać wielbląda, z dwoma garbami, długim ogonem i czterma nogami.

Nie wierz temu zgoła, rzecze trzecia. Wiém o wszystkiém, jak należy. Jestto znak dziwnego kształtu i wielkości niezmierney. Cała jéy szyja jest czarna, jak węgiel, a prócz tego, okryta długim białym włosem: o Boże! jak to szkaradnie!

Straszliwie! odezwie się podeszła Dama.

Jeśliby mi się takie przytrafiło nieszczęście, rzekła jedna z dwóch młódszych panien, spuszczając skromnie oczy na piersi, których zadziwiająca białość, przeglądała przez lekką gazę, pewniebym umarła.

Inne osoby przyłączyły się także do tey ciekawey rozmowy. Każda przydała coś swego, a wszystkie się litowały nad panną Farnau.

Drzwi się otworzyły, oznaymiono, że Panna Farnau i jey ciotka. Pierwsza z nich, chociażby nie ściągnęła mey uwagi w rozmowie, którey była przedmiotem, uderzyłaby jednak swoją pięknością i wdziękami całey postawy. Był to prawdziwie anioł: oczy jey wydawały niewinność i dobroć: wszystkie rysy składały ów ideał zachwycający, jakiemu się dziwią w portretach Angeliki Kaufmann: nie śmieycie się proszę: nie byłem jeszcze wtedy zakochany. Dziś jestem żonaty, a zatém prawdę mówić muszę.

Słowem: piękna Farnau zwróciła oczy i podbiła serca wszystkich mężczyzn. Wszyscy zbliżali się do niey z jakiémś zainteressowaniem, któremu barwa słodkiego politowania, więcey jeszcze przydawała mocy. Pierś tey cudney piękności, była pokryta, aż do szyi, zasłoną nie-

przenikliwą. Ta osobliwość przypominała ustawicznie jednym wielbląda, drugim zaś mysz: „Niestety! mówiłem do siebie, czemuż los tak „był okrutny? czemuż tak straszliwie zeszpe-„cił naypięknieyszą osobę, jaka bydź mogła pod „słońcem?”

Z natury nie jestem bardzo ciekawy, nigdy jednak ta wada mocniey mię, jak owego wieczora, nie dręczyła. Wdzięki, na które patrzałem, były dla mnie obojętne, to jedno, co ta dziewica mogła mieć odrażającego, ciągle wzrok móy nęciło. Oczy moje usiłowały przedrzeć się przez fałdki jey gorsetu. Co kwadrans zmieniałem plan moich śledzeń i zawsze miałem zręczność, umieszczenia się nayblizey tey piękności nieszczęśliwey. Wszystko to było naprózno.

Zaczęły się tańce. Wiele juz Dam pozwoliło ręki kawalerom. Nikt nie podszedł do piękney Farnau. Czego to nie czyni imaginacya! Prosiłem ją do tańca, podała mi swą rękę. Tańczyłem z nią przez cały wieczór. Co za wdzięk! co za lekkość we wszystkich jey poruszeniach!.

Poźno juz rozjeżdżać się poczęli. Piękna nieszczęśliwa, oczarowała mię ze wszystkiém. Jey rozmowa, spóyrzenie, uśmiéch, wszystko miało wdzięk niewypowiedziany. Dziwiłem się jey wesołości, wyrazowi ukontentowania, jey rozsądkowi! Na szczęście nie wiedziała o tém, com ja wiedział, i co wszyscy tam obecni wiedzieli. Nie miałem tak wybujałey imaginacyi, abym się miał zaraz w niey zakochać, lubo tego warta była. Lecz wyznam przed wami, że nigdy

żadna mię tyle nie zachwyciła kobiéta. Skryte politowanie ogarnęło me serce. Stworzenie to anielskie, godne zaiste było politowania.

Pewniebym o niey zapomniał nazajutrz..... Co mówię, o niey zapomnieć? Nie, to niepodobna; gdyż chętnie pamiętamy, owe dziwne natury igraszki, w których wdzięk piękności, miesza się z tém, co może bydź nayszpetnieyszego. Wróciwszy do mego hotelu, przebiegam wschody i na nich spotykam Pannę Farnau ze swoją ciotką.

Oczywiście, że się zatrzymać musiały. Zapytywaliśmy się nawzajem, jak się kto ma po wczorayszém. Oświadczyliśmy sobie wzajemne zadziwienie, że mieszkamy pod jednym dachem, nie wiedząc o tém bynaymniey. Nie taiłem mego ztąd ukontentowania; nareszcie prosiłem o pozwolenie odwiedzania mych sąsiadek w ich pomieszkaniu. Podczas tey rozmowy, ciekawość zwróciła me oczy ku mieyscu, gdzie owo nieszczęśliwe znaydowało się piętno; lecz wielki szal, pod szyją zapięty, tak doskonale okrywał piersi i ramiona Panny Farnau, iż wolałem patrzyć na jey twarz cudną.

Nakoniec obie Damy na dół zeszły, a ja pobiegłem do mego pokoju, aby jeszcze widzieć przez okno, Pannę Farnau. Wsiadły do pojazdu i odjechały. „Niestety! zawołałem z westchnieniem, co za szkoda, że tak zachwycająca osoba, tak okropnym jest zeszpecona sposobem!”

Korzystałem z danego mi pozwolenia. Kiedy niekiedy odwiedzałem dwie Damy. Były to przyjezdne do Wiednia, i miały od kogoś

z Auszpurga list, polecający do domu tego, w którym je poznałem.

Wodziłem moje dwie sąsiadki na Prater, na widowiska, słowem: wszędy, gdzie tylko można się było zabawić. Piękna Józefina, tak ją nazywała ciotka, nowe codzień odkrywała przymioty, dla których coraz bardziey uwielbiałem jey serce i umysł. Lecz tom postrzegł, iż im poufalszą stawała się nasza znajomość, tém ona troskliwiey ogarniała tę szyję, tak nieszczęśliwie kalectwem dotkniętą. Józefina była dla mnie naydoskonalszą, jakąm widział kiedy kobiétą; lecz nic nie masz na ziemi zupełnie doskonałego.

Widywaliśmy się codziennie, a nasz związek coraz ściśleyszym się stawał. Ciotka traktowała mię z tą uymującą poufałością, która tak snadnie w podróżach się zawiązuje. Zdawało mi się nawet, żem dostrzegał w postępowaniu Józefiny lekkich przyjaźni znaków. Kiedy zatrudnienia wzbraniały mi znaydować się u nich na naznaczoną godzinę, robiły mi małe zarzuty, a kiedy, w tychże chwilach, Józefina miała przez krótki czas wlepione we mnie oczy i milczała, jak gdyby chcąc mię przeniknąć i zapytać: kto ty jesteś?.... nie wiém, co się wówczas działo we mnie.

Nakoniec interesa moje nie przeszkadzały mi więcéy przychodzić na umówioną porę.

Nie długo trwał ten tak przyjemny stan rzeczy. List z domu doniósł mi, że móy oyciec uderzony apoplexyą, chciał się jeszcze widzieć ze mną. Musiałem spieszyć chcąc jego ucałować ręce przed śmiercią. List ten odebrałem zrana. W półgodziny rzeczy moje były upa-

kowane; a powoz czekał przed bramą. Żal wprawił mię w obłąkanie. Sługa donosił mi, że już wszystko w pogotowiu. Zszedłem prawie nieprzytomny, zapomniawszy pożegnać się z mojemi sąsiadkami. Już mię miano podsadzać do powozu, kiedy głos z góry zapytał: dokąd jadę?

Był to głos Józefiny. Podniosłem głowę, stała ona w oknie i powtarzała pytanie. Opamiętałem się; wróciłem do domu, i przebiegłem wschody, aby się przynaymniey uiścić z tego, czego wymagała grzeczność, lub sama przyjaźń.

Zastukałem, drzwi się otworzyły. Józefina w rannym stroju wybiegła naprzeciw mnie, potém z wyrazem nayżywszey trwogi, nazad się cofnęła.

„Wielki Boże! zawoła, co ci się stało! Jak „jesteś blady i zmieniony!"

To mówiąc, z wyraźném wzruszeniem, wyciągnęła rękę po moją; szal po prostu zarzucony na ramiona, odchylił się: w tey chwili, o cienie mojego oyca! przebaczcie; lecz co za grzech nieodpuszczony, ciekawość! zapomniałem o drodze, apoplexyi i żalu, korzystając tylko oczyma z okoliczności, która mi odkryła tajemnicę, śledzoną potylekroć oddawna.

Wyobraźcie sobie moje zadziwienie. Uyrzałem szyję, jak kość słoniowa, bielutką, a na dwa palce poniżey, postrzegłem znaczek, o którym tyle prawiono. Nie była to, ani mysz, ani wielbląd; była to tylko ciemno-brunatna plamka, wielkości i kształtu bobu.

Józefina zarumieniła się i śpiesznie szal poprawiła. Nie byłem jeszcze w stanie przemó-

wić. Czy to myśl o apoplexyi, czy o bobie, odjęła mi mowę?.... Sam nie wiém; stałem tylko niemy i bez ruchu, jak posąg.

„W imie nieba! krzyknęła ciotka, powiedź-„że nam: co ci się przytrafiło? Czyś uległ ja-„kiemu nieszczęściu."

„Oyciec móy, tknięty apoplexyą, passuje się „ze śmiercią...., muszę was opuścić."

Nie mogłem nic więcéy powiedzieć; pocałowałem obie w ręce i wymówiłem kilka słów pożegnania. Wtenczas Józefina zatrzymała mą rękę w swojey, chociaż na chwilę, lecz z mocném wstrząśnieniem. Zdało mi się nawet, że zbladła i łzy w jey oczach stanęły.

Może też nie było tego, nic nie wiem: bom nie dobrze widział, wszystko mi się zaćmiło dokoła.

W pojeździe myślałem już tylko o konającym oycu. Jechałem dzień i noc, ciągłą trapiony gorączką. Przeciąg podróży był nayokropnieyszym w mém życiu. Nie skosztowałem na chwilę spokoyności, chyba we śnie, który na moment słodko kołysał moję imaginacyą. Wówczas ciągle patrzałem na bob ciemny.

Gdym zajechał przed dom oyczysty, wyszli naprzeciw mnie krewni w grubey żałobie. Stało się, oyciec móy już nie żył od dni kilku, nawet w grobie już spoczywał.

Nie zdołam opisać wielkości mojego strapienia. Miałem zawsze ku oycu nayżywsze i nay-tkliwsze uczucia. Był on dla mnie, pomimo swych dziwactw, naylepszym. Sciśnienie serca, boleść, a do tego może jeszcze i niewygody podróży, w ciężką mię wtrąciły choro-

bę; było to dla mnie dobrodzieystwem: bom o niczém przez całe trzy miesiące nie myślał. Nakoniec, wracając do zdrowia, kiedy świat i przeszłość na pamięć mi wróciły, wymknąwszy się jakby z chmur, które je osłaniały, znalazłem się tak spokoynym, jakbym nigdy nie znał Józefiny.

Nagła śmierć oyca, i długa moja choroba, sprawiły nieład w domowych interessach. Dla przywrócenia porządku, wypadało ustawicznie pracować, co było dla mnie pożyteczną rozrywką.

W przeciągu roku wszystko wróciło do porządku. Uyrzałem się na czele sławnego domu handlowego. Radzono mi ożenić się. Nie sprzeciwiałem się bynaymniey, lecz też za niczyją nie poszedłem radą. Nic na mnie nie wskórano. Nie brakowało młodych i pięknych panienek w mieście i w okolicach; lecz jeszczem nie widział pory.

Z tém wszystkiém jednak, ta ustawiczna rozmowa o tymże samym przedmiocie, przywiodła mię do rozwagi. Postrzegłem, żem był sam jeden i że mi czegoś brakowało. Od śmierci oyca, dom móy istotnie zamienił się w pustkę; a jednak pomiędzy wszystkiemi dziewicami, które mi były znajome, nie widziałem żadney, z którąbym chciał dzielić życie i samotność.

W tém nie wiem, jak się to stało, bo to już było zdarzenie dawno zapomniane, przyszedł mi na myśl móy pobyt w Wiedniu i Panna Farnau. Na szczęście znaydowałem się sam wówczas w moim pokoju: bo na to wspomnienienie, zdaje mi się, żem się mocno zarumie-

nił. Co więcey, porwałem się z sofy, w poruszeniu gwałtownem wyciągałem ręce, tak, jakbym chciał uściskać jakiś obraz bozki i wzdychałem..... Owszem co mówię? głosem pełnym uniesienia, dolegliwości, żądzy i niespokoyności, wołałem: Józefino! Józefino!

Na dopełnienie miary mojego pomieszania, następney nocy, sen wystawił mi bób ciemnobrunatny. Józefina była piękną, atoli moja wzruszona imaginacya, wyobrażała mi ją jaśniejącą nadprzyrodzonemi wdzięki. Nie śmieycie się z tego, co mówię: położyłem się spokoyny, a wstałem miotany naygwałtownieyszą namiętnością.

Wtenczas dóm po raz pierwszy pokazał mi się pustynią; szukałem Józefiny wszędzie i wszędziem ją znaydował. Zdawało mi się, że już była moją żoną; raz widziałem ją w oknie, zajętą drobnemi roboty; to znowu siedzącą przy fortepianie, a ja za nią pilnie nadstawiający ucho; gdzie indziey obok mnie na sofie przy stoliku u śniadania. Niewypowiedziane jey wdzięki, uśmiech, spóyrzenie, głos czarujący, słowem: wszystko, com w niey podziwiał, nabierało przez nasz ścisły związek, nowych i nieskończonych powabów. Czułem się pod natłokiem uczuć wszelkiego rodzaju. Już to widząc ją w naywiększém szczęściu, tylkom co nie wykrzyknął z radości; to znowu płakałbym z żalu, myśląc, że Józefina mogła mię opuścić. Możebym istotnie krzyczał z radości i łzy wylewał, bom był podobny do obłąkanego własnemi złudzeniami, i który się samemi tylko przywidzeniami karmi.

To położenie było mi nieznośne. Urządziłem me interessa: kazałem sprowadzić pocztowe konie i poleciałem do Wiednia.

Niekiedy w drodze przychodziły mi uwagi, uspakajające szał móy na chwilę. Czyż, mówiłem do siebie, nie mogło się zmienić wszystko przez szesnaście miesięcy? Może ona innego kocha? Może już zamąż poszła? Jest tak młoda, iż nie może sama swym rozrządzać losem: ma rodziców, a ci powodują się względami, na które młodzi ludzie nie dają uwagi. Ona jest z wyższego rodu.

Wóczas przypomniałem sobie przyjaźń, która nas łączyła; cieszyłem się wspomniawszy na jey zblednienie, na oczy łzami zalane, na tkliwy i mimowolny sposob, jakim mi przy odjeździe ścisnęła za rękę. Z tego wszystkiego, wyciągałem dowody jey uczuć ku mnie, dowody jey miłości. Mogło się jednak to inaczey tłumaczyć: lecz nie chcąc poddawać się rozpaczy, przymuszony byłem wmawiać w siebie, żem nie zupełnie był obojętny dla Panny Farnau. Wolałbym raczey umrzeć, jak żyć bez niey, raczey utracić pojęcie i kosztować szczęścia, jak zostać przy rozumie i cierpieć.

Wśród takiego uwag i uczuć natłoku, przybyłem do Wiednia. Postrzegając zdala wieże tey stolicy, zastanowiłem się po raz pierwszy, iż ze wszystkich, spotkać mię mogących, kolei, a które roztrząsałem, naypodobnieysza do prawdy, wymknęła się mey uwadze. Józefina była obcą w Wiedniu, zatém od szesnastu miesięcy, mogła opuścić stolicę.

Jużem wam namienił, com czynił przyby-

wszy do Wiednia. Panna Farnau znikła. Hotel, w którym mieszkaliśmy razem, przez kogo innego był utrzymywany, nikt mię téż zgoła oświecić nie mógł. Znajome mi osoby, nie wiedziały tak, jak ja, dokąd się Panna Farnau udała. Dla mego uspokojenia, pisano do Auszpurga, skąd były przywiozły wexle i listy polecające. Lecz już korrespondent auszpurgski nie żył, a jego dziedzice naymnieyszey o Pannie Farnau dać nie mogli wiadomości.

Tak tedy strapiony, cały gniew wywarłem na siebie. Co za błąd niedarowany, iż w czasie pierwszego w Wiedniu pobytu, zaniedbałem wywiedzieć się o familii Panny Farnau, o mieyscu jey ciągłego pobytu, wreszcie o tém wszystkiém, coby do niey należało! Prawda, żem w owym czasie nie myślał, abym w piętnaście później miesięcy, w niey się rozkochał.

Co naybardziey przyczyniło się do ulżenia mey boleści, lecz razem i do zwiększenia gwałtowności mych uczuć, to ów pokóy, który ona zaymowała; mieszkałem w nim, znalazłem téż same sprzęty, krzesła, na których siadywała, stolik, który jey służył do pisania. Przeszłość objawiała mi się tak żywo i tak mocno, żem podnosił się niekiedy z krzesła, posłyszawszy naylekszy szelest w przedpokoju: bom sądził, że uyrzę ją wchodzącą z ciotką.

Śledziłem wszystko naystaranniey, spodziewając się znaleźć jakikolwiek ślad Józefiny. Po dwadzieścia razy przeyrzałem ściany od góry do dołu; lecz pomiędzy imionami rozmaitych podróżnych, nie dostrzegłem jey imienia.

To tylko rzecz dziwna, żem pierwszego dnia

znalazł w szufladce od biórka, bob czarny, bardzo czysty i lskniący. Każdy się domyśla, jak świętém godłem to ziarno było dla mnie, znalezione zwłaszcza w pokoju Józefiny. Wziąłem ten bob, a postradawszy nadzieję, znalezienia kiedy tey, którąm ubóztwiał, zaniosłem go do jubillera i kazałem oprawić w złoto, abym zawiesiwszy na jedwabnym sznurku, zawsze mógł nosić na piersiach, jako pamiątkę naymilszey mi osoby.

Wyjechałem z Wiednia nieszczęśliwy, strapiony. Postanowiłem nie żenić się nigdy: czegoż to się nie postanawia!

Za powrótem do domu, żyłem jak wdowiec. Wszystkie młode osoby były dla mnie nieznośne, nudne i pospolite. Zagrzebałem się w zatrudnieniach; rozrywką moją były przedsięwzięcia handlowe nayśmielsze. Nie uczęszczałem na kompanije; unikałem wszelkiey rozmowy. Obraz Józefiny snuł się bezustanku koło mnie. Bob, którym nosił na szyi, był dla mnie, równie kosztownym kleynotem, jak gdybym z rąk jey otrzymał. Wyobrażałem sobie, że piękna Farnau, zostawiła ten bob w szufladce.

Urojenie, które nas czyni szczęśliwymi, czyliż nie jest równie pożyteczne, jak filozofija, która nas takimi uczynić nie może?

Powierzchowność moja musiała bydź daleką od swobodney: gdyż każdy miał mię za melancholika, chorego i blizkiego końca. Przywalano mię zaprosinami, wzywaniami na zabawy. Przysyłano mi nawet lekarzy. Wszystko to było bezskuteczne.

Dla pozbycia się jednak natrętstwa i prze-

konania, żem był jeszcze podobny innym, postanowiłem bywać raz lub dwa razy w tydzień, na wieczorach u przyjaciół.

Będąc raz zaproszony do P. Hildebrand, radcy, przybyłem nieco poźniey dla niejakich zatrudnień. Kompanija już się była zebrała; znałem wszystkich, wyjąwszy jednego mężczyznę, którego mi przedstawiono, jako pułkownika woysk rossyyskich, posiadającego od lat cztérech majętność Priest, o półtory mili od miasta. Nie wiele na te szczegóły dawałem baczności, milcząc powitałem go i usiadłem. Mówiono wiele: co mi się tém bardziey podobało, iż niewielką miałem ochotę otwiérać usta.

Pułkownik był silney budowy i słusznego wzrostu, twarz jego wrażała poszanowanie; wydał mi się mającym z górą lat sześćdziesiąt, lecz jeszcze był pełen żywości: i on jeden całą mą ściągnął uwagę. Przy guziku miał znak orderu; na czole i na twarzy widać były szlachetne blizny. Głos miał wzniosły i rozkazujący: co pokazywało woyskowego, który niegdyś dowodził. Mówiono o Persyi i Mołdawii, gdzie pułkownik się znaydował. Słuchano go z ukontentowaniem, bo ciekawym opowiadał sposobem.

Po wieczerzy zaczęto poncz roznosić. Ożywiła się rozmowa. Stary żołnierz opowiadał o potyczce, w którey raniony w piersi, upadł z konia i został wzięty przez Turków. W zapale opowiadania, gdy rozpiął kamizelkę dla pokazania blizny, uyrzeliśmy medal złoty na jedwabnym sznurku. Wziął go, mówiąc: „ Jan„ czarowie ogołocili mię ze wszystkiego, com „ miał; pozostał mi tylko ten naydroższy kleynot."

Każdy naturalnie mniemał, iż ów medal zamykał dyament znaczney wielkości, lub też perłę wysokiey ceny.

Nie, odpowiedział woyskowy, jestto tylko bob.

Bob! krzyknęli wszyscy społem.

Zaczerwieniłem się jak żar, a potém jak trup zbladłem.

Podziwienie odjęło mi przytomność: „Jak „to, mówiłem w duchu, ten officer, wpadł „podobnie, jak ja, na myśl oprawienia w złoto „bobu, który teraz, nakształt świętości, na szyi „nosi?" Niech każdy osądzi moje położenie, i to wszystko, co mi przez głowę przeszło? Chciałem z duszy zapytać pułkownika, dla czego nosił ten bob; lecz język mi zdrętwiał. Nie mogłem wyjąkać ani jedney zgłoski. Wychyliłem szklankę ponczu dla ośmielenia się do zapytania: jużem otwiérał usta, kiedy mię moi uprzedzili towarzysze.

Naychętniey wam to opowiém, rzecze officer, nakładając lulkę; lecz lękam się, aby ta historya was nie znudziła.

Panowie, bierzmy się do fajek.

Każdy usłuchał. Ja nawet, lubo nie palę nigdy, toż samo zrobiłem. Przytknąłem jednak tylko do ust faykę niezapaloną, w obawie, aby woyskowy nie zaniechał przedsięwzięcia, widząc kogo bez swey ulubioney fayki.

„Moi panowie, rzekł, w piętnastym roku „byłem kadetem, we dwudziestym porucznikiem. Lecz w dwudziestym roku, zwykliśmy bydź czémś więcey, jak prostym porucznikiem. Oto pół-bogiem *nota-bene*, kiedy „kochamy, a jam się kochał."

Pułkownik nasz miał córkę, naypiękniey-szą i naydowcipnieyszą w całym kraju. Oprócz dwóyga oczu przenikliwych, miałem jeszcze pełne życia serce. Tym sposobem wybornie wszystko się poymuje. Młoda hrabianka Oberndorf, którą m wolał po prostu, od jey imienia, zwać Zosią, bom nie był hrabią: otoż tedy Zosia miała lat szesnaście, a ja, jak mówiłem, dwadzieścia. Poymujecie łatwo, nieszczęście wyniknąć ztąd mogące. Jest to rzecz nieuchronna: powiadam wam, każdy o tém jest przekony; lecz P. Pułkownik, który w sprawach regimentowych miał wzrok orli, nie postrzegł tego: prawda, że moja miłość do tych spraw nie należała.

„Z resztą żyliśmy z sobą bardzo dobrze: „kochał mię, jak syna; znał rodziców, których „postradałem. Zastępował mi mieysce oyca; i „za wszystko na świecie, chętniebym został je-„go synem. Lecz niepodobna było myślić o „tém. On był pułkownikiem, ja porucznikiem; „on był hrabią, ja zaś nie; on był bogatym, „ja ubogim. Teraz widzicie, jak straszna mię-„dzy nim a mną odległość!

„Zosia nie dawała prawie względu, jak sta-„ry wojownik, na tytuły, majątek i rangę po-„rucznika. I z wielu miar była przystępniey-„szą od niego.

„Postrzegałem, że ze mną poufaley, jak „z innymi obchodziła się officerami; że ze mną „jednym wolała rozmawiać, tańczyć, przecha-„dzać się, a zimą jeździć sankami; nie mo-„głem jeszcze z tego wnosić, aby mię kocha-„ła; wiedziałem tylko, żem ją kochał, wiel-„bił, ubóstwiał, a wiedziałem o tém aż nadto.

„Sto razy chciałem jey odkryć moję miłość, rzucić się do nóg; lecz, wielki Boże! w poźnieyszym czasie, nie wiem, po ilekroć wdzierałem się na baterye, pod ogniem kartaczów, z większą śmiałością, aniżeli gdym w owym czasie, o którym mówię, zanadto się zbliżył do Zosi. Nie, powiadam wam, nie mogłem się odważyć.

„Lecz nie będę was długo nudził, historyą moich miłostek: przystąpię raczey do końca.

„Jednego wieczora przyniosłem rapport do pułkownika. Nie zastałem go. Uważałem to za małe nieszczęście, bo Zosia, znaydująca się wtedy w jego pokoju, pozwoliła mi u siebie zaczekać na oyca.

„Rzecz dziwna, kiedyśmy się spotkali w licznêm zgromadzeniu, nie mogliśmy się nagadać, niechże się zdarzyło znaydować się sam na sam, przeciwnie, nie wiedzieliśmy co mówić mamy. Wiedzieliśmy, to prawda, co mówić, lecz *nota-bene*, nie mogliśmy. Nie wiem, moi Panowie, czy zdarzyło się któremu co, podobnie dziwnego, w młodości.

„Młoda hrabianka siedziała przy stoliku, na którym leżał pokrowiec od szachownicy, opatrzony w to wszystko, czegokolwiek potrzeba do gry w młynka; to jest: z równą liczbą bobu białego i czarnego, do zapełniania mieysc. Po długiey pauzie milczenia, w naszey rozmowie, pauzie, która *nota-bene*, zgoła nie była nudną, hrabianka wezwała mię do gry. Oddała mi bób ciemny, a sama wzięła biały. Zaczęliśmy grać, ona ciągle wygrywała. Nie wiém skąd wszczęła się między nami sprzeczka; upierałem się naychętniey, bo w zapale sporu,

naprawiłem jey mnóztwo rzeczy, którychbym w inney porze nie miał śmiałości powiedzieć.

„Byliśmy wówczas, jak gdyby w liczném kole. Krzyczeliśmy na przemoc. Zosia wiele miała dowcipu; przycinała mi, szydziła i tak zwikłała mię żarcikami, iż z rozpaczy nie wiedziałem co odpowiedzieć; na ukaranie więc jey, iż mię tak tryumfalnie wyszydziła, rzuciłem na nią jedno ziarno mojego bobu. Ziarno to zakréśliło koło, zagroziło ładnemu noskowi mojey przeciwniczki, która schyliła na tył głowę, i wpadło w otworek gorsetu. Szczęściem że to nie była strzała.

„Przestrach mię ogarnął, zadrżałem z niespokoyności. Zosia zarumieniła się i pomieszana spuściła w dół oczy. Nie było już więcey mowy o żartach, grze i kłótni. Nie miałem mocy przemówić, ona także była niemą. Lękałem się, aby ten móy krok, nie ściągnął jey gniewu. Poglądałem na nią trwożliwie; podniosła oczy na mnie, i nieco posępnie spóyrzała. Nie mogłem znieść tego. Padłem przed nią na kolana, przyciskałem do mych ust jey rękę i błagałem o przebaczenie. Nie odpowiedziała mi i słowa, lecz nie usunęła swey ręki.

„O moja droga Zosiu! nie obarczayże mię swym gniewem, zawołałem, umarłbym z żalu, widząc cię obrażoną. Dla ciebie tylko i przez ciebie żyję; bez ciebie życie jest niczém dla mnie, ty jesteś moją duszą, bóztwem, słowem wszystkiém dla mnie.

„Krótko mówiąc, od słowa do słowa, uczyniłem przed nią ze łzami wyznanie mych uczuć: słuchała mię także płacząc. Zaklinałem,

aby odpowiedziała, nie dałem jey atoli na to czasu. Ale, *nota-bene* pułkownik o trzy tylko kroki był od nas, a ani Zosia, ani ja nie postrzegliśmy go, ani usłyszeliśmy wchodzącego. Zdaje mi się, że jak mara jaka wśliznął się do pokoju! Zlituy się Boże nad nim i day mu niebo!

Sądzcie o naszym przerażeniu, kiedy głos straszliwy pułkownika zabrzmiał nam w uszach z tysiącem żołnierskich przeklęstw. Zerwałem się, pośpieszyłem do niego: Zosia toż samo zrobiła. Chcieliśmy się tłumaczyć, lecz nie dozwolił.

„Cicho, krzyknął tak mocno, jak gdyby miał do czynienia z dwoma regimentami kawaleryi, nie zaś z dwoma roztargnionemi; Zofia wyjeżdża jutro. Co do Waspana, Panie Poruczniku, bierz *dymissyą* i opuszczay te strony, bo inaczey zginiesz.

„W tém odwrócił się od nas i co prędzey wyszedł z pokoju. Wyznaję, że jego przezorność, śród uniesienia, godna jest uwielbień. Był to, zaiste, mały znak przezorności, zostawiania nas samych; mieliśmy tyle rzeczy do mówienia!

„Zosia stała jak wryta pośród pokoju, z głową zwieszoną, z opuszczonemi ramiony i rękami załamanemi, jak posąg.

„O Zosiu! rzekłem, rzucając się do niey, i przyciskając do siebie, Zosiu! tracę cię nazawsze.

„Nie, odpowiedziała głosem pewnym, nie nazawsze. Póki żyć będę, twoja pamięć nie będzie wytarta w mém sercu." Wyrzekła to takim głosem, iż zadrżałem.

„Czy kochasz mię Zosiu, zapytałem pocichu, przytulając jey rękę do ust moich? Nie odpowiedziała mi, ani tak, ani nie, lecz lekko ści-

snęła mą rękę. Swiat znikł przedemną; dusza ma przestała cierpieć; kosztowałem anielskiey szczęśliwości.

„Płakała; łkania jey ocuciły mię z letargu.

„O Zosiu! zawołałem, padając przed nią na kolana, przysięgam, tak, że do ostatniego tchnienia, w jakiekolwiek strony los mię zaprowadzi, do ciebie jedney należeć będę.

„Głębokie milczenie nastąpiło po tey przysiędze; dusze nasze zgodnie ją powtórzyły. W tém coś spadło na ziemię. Był to ów nieszczęśliwy bob, przyczyna naszego strapienia. Podniosłem go, wstałem, i pokazując Zosi, rzekłem· „Jest to dzieło Opatrzności! Na pamiątkę tego wieczora, zachowam na zawsze."

Zosia ścisnęła mi rękę, oczy jey zachwycającym jaśniały blaskiem.

„Tak, rzecze pocichu, jest to dzieło Opatrzności." Puściła mą rękę i wyszła. Nazajutrz rano, albo raczey w nocy wyjechała. Na musztrze, pułkownik obszedł się ze mną ze wzgardliwą oziębłością. Prosiłem o *dymissyą*, otrzymałem i oddaliłem się. Nie uważałem na to, gdzie się mam udać. Przyjaciele moi opatrzyli mię w listy rekommendacyyne do Petersburga, i dostarczyli na tę podróż pieniędzy.

„Zaiste, musi to bydź zrządzenie Opatrzności, powtarzałem w ciągu mey drogi na północ. Utraciłem Zosię na zawsze; same tylko smutne po niey zostały mi wspomnienia i ów bob fatalny. Kazałem go oprawić w medal złoty, i już przez cztérdzieści dwa lata noszę go ciągle na szyi.

„Dzięki mym listom, otrzymałem wkrótce

mieysce piérwszego porucznika. Życie mi było obojętne. Dosyć byłem waleczny. Walczyłem w Azyi i w Europie; nabyłem dostatków, zaszczytów, znaków honorowych, słowem: wszystkiego, czego tylko pragnąć może żołnierz. Po dwudziestu latach służby, doszedłem do stopnia pułkownika; w tym przeciągu czasu, postar.. em; awantury młodego wieku w połowie się zapomniały, *nota-bene*, bob nie stracił mojego przywiązania.

„Na potyczce pod Kinburnem, na brzegach Limanu, w roku 1788, zostałem jeńcem Janczarów. Dzień to był straszliwy; książe Nassau wyszedł szczęśliwie. Janczarowie obdarli mię ze wszystkiego. Nie znalezli wszakże drogiego bobu; krew lejąca się z mych piersi, zupełnie go zakryła. Myślałem że umrę. Niewierni dwa dni mię z sobą włóczyli, lecz ścigani przez naszą jazdę, zostawili mię w półmartwym na czystém polu. Znaleźli mię swoi i litość ich wzięła. Umieszczono mię w łazarecie, a dla zupełnego ozdrowienia, byłem przymuszony z ranionemi udać się do Moskwy.

„Dziwnie mi pomogł spoczynek. Chciałem żyć, bo życie cenić zacząłem. Po dwudziestu cztérech latach służby, mogłem się o zaszczytne domagać uwolnienie; otrzymałem je z pensyą. Cieszyłem się mocno z tego; lecz, *nota-bene*, nie długo. Moskwa jest miastem przyjemném, ale nudném, dla tych, co się nie trudnią handlem (*). Petersburg, chociaż naypiękniey-

---

(*) Chyba wówczas, kiedy pan pułkownik w niey przebywał: gdyż inni, w stolicy tey zawsze przyjemny znaydowali pobyt, i ze słodyczą lubią o niey opowiadać. (*R.*)

sza stolica, nie mógł swym blaskiem zagrzebać w mey pamięci, owego małego miasteczka, gdziem stał na kwaterach z pułkownikiem Oberndorf, a *nota-bene* z Zosią, przed dwudziestą czterma laty.

„Byłem panem mego czasu. Trzeba też jeszcze, mówiłem do siebie, odwiedzić to małe miasteczko, i jeśli można, kochankę młodości, która, albo dziś już może jest babką, albo..... umarła. Dobry Boże! ileż to zmian od owego czasu zayść mogło! Dano mi pasport, wyjechałem: zatrzymywałem się w każdém mieście, bo mię nic nie nagliło. Nakoniec stanąłem w małém miasteczku, gdziem niegdyś był z woyskiem.

„Kiedym uyrzał szczyt wieży, z pomiędzy drzew otaczających miasteczko, serce me bić zaczęło. Lecz *nota-bene*, nie na widok wieży. Myślałem o Zosi; grób jéy, niestety! może był przy tey dzwonnicy!

„Nikt tam mię już nie znał. Prawda i to, że ćwierć wieku za długi peryod uważać należy. Wyniosł się już ztąd dawny móy regiment. Zastąpili go dragoni. Pułkownik Oberndorf umarł oddawna. Córka jego, jak mi powiadano, oddaliła się do swego majątku w Morawii, nie daleko Brünn; lecz nikt nie wiedział, czy jeszcze żyła.

„Udaćże się do Morawii? pytałem sam siebie. Zapewne; a jeśli ta uwielbiana kobiéta spoczywa w grobie, odwiedzić jey mogiłę, wziąść z niey garść ziemi, i zamknąwszy w złotém sercu, nosić ją na mieyscu bobu.

„W Brünn, co za przyjemna nowina! do-

wiedziałem się, iż żyła, i że mieszkała o pięć mil ztamtąd, jeszcze pod nazwiskiem hrabianki Oberndorf.

„Poleciałem tam; ukazano mi ładny wieyski pałacyk, wśród gustownych ogrodów. „To ona tam mieszka!” Tak mówiąc do siebie, począłem drżeć, jak gdybym jeszcze był porucznikiem, a przecie nie drżałem przed Turkami, i miałem już lat cztérdzieści pięć.

„Wysiadłem z powozu. Już w myśli widziałem Zosię z lubém pomieszaniem mię poznającą. „Ale czy ona mię dotąd kocha? Ser„ce kobiéce...... Ach!” I podczas tych uwag, nie pewnym krokiem zapuszczałem się w głąb ogrodu.

„Dwie podeszłe damy i dwie inne daleko młódsze bawiły się czytaniem, w altanie z akacyy i róż, będącey przed domem. Nie postrzegłem Zosi.

„Przeprosiłem za przerwę, jakiey byłem powodem; gdyż moja przytomność zmieszała damy widocznie.

„Kogo Pan potrzebuje? „zapytała jedna „ze starszych.”

„Czy mogę mieć szczęście, złożyć moje u„szanowanie hrabiance Oberndorf?”

„Jestem nią, odpowiedziała, z wielkiém mojém zadziwieniem, ta, którey mogłem liczyć lat cztérdzieści. Uczułem jakieś osłupienie.

„Pozwoli mi Pani usiąść, bo czuję osłabienie, cichym odpowiedziałem głosem; i usiadłem, nie czekając odpowiedzi. Wielki Boże! co za zmiana! w co się obrociła owa piękność, gasząca

wszystkie inne! Wyszedłem z omamienia. Przypomniałem sobie ćwierć wieku. Była to Zosia, ale już Zosia świeżości pozbawiona.

„Z kimże mam honor mówić? zapytała. Nie poznała mię bowiem.

„Chcąc uniknąć sceny, w obliczu dam innych, prosiłem ją na osobność. Wprowadziła mię do domu; pierwsza rzecz, co mię uderzyła wchodzącego do sali, był portret jey oyca. Stałem długo, nie mogąc słów znaleźć. Serce me było ściśnione; przypatrywałem się obrazowi pułkownika; oczy moje zalały się łzami. „Tak, oycze, rzekłem cichym i drżącym głosem, spóyrzyy teraz na twą Zosię! Ach! nie dobrześ z nami postąpił!"

„Zosia zmieszana, stała tuż przy mnie. Moja odezwa, zdawała się ją czynić niespokoyną. Chciałem ją z tak przykrego wyprowadzić położenia, lecz jeszczem mowić nie mógł. Straszliwe mię opanowało wzruszenie."

„Nie dobrze musi bydź Panu, rzekła, patrząc ku drzwiom z lękliwą miną."

„I owszem, bardzo dobrze; nie poznajeszże „mię Pani?"

„Przypatrywała mi się pilnie, i z lekka wstrząsnęła głową. Wówczas dobyłem z zanadrza sznurek, na którym bob był zawieszony, i klęknąłem przed Zosią, mówiąc: „Przebóg! „nie poznajeszże Zosiu tego bobu, który nas „rozłączył przed dwudziestą cztérma laty? Pil„niem go dotąd zachował. Opatrzność w tém „bydź musi, mówiłaś wtenczas, Zosiu; tak „Opatrzność; to prawda."

„Móy Boże! odezwała się głosem osłabionym

i oddalając się odemnie. Padła na sofę, chcąc zakryć twarz bledniejącą; lecz nie miała już siły. Poznała mię i kochała jeszcze.

„Przyzwałem inne damy na pomoc przyjaciółce. Przelękły się, widząc ją bladą, zmienioną i nieznajomego officera na kolanach przed nią. Nim przyniosły wonności, hrabianka odzyskała przytomność. Przecierała sobie oczy, jak gdyby wracała ze snu. Nakoniec wylewając łzy obfite, rzuciła mi się na szyję, nie mogąc nic prócz imienia mego wymówić.

„Krótko mówiąc, moi Panowie, była to chwila.... Aniołowie sami, widząc nas płakaliby z rozczulenia. Nie myślałem o odjeździe. Hrabianka prosiła mię, abym został. Ile to rzeczy mieliśmy do rozpowiadania! Z jaką to ona kochała mię stałością! Nic już nie mogło bydź na zawadzie temu, czemu niegdyś był przeszkodził pułkownik. Zosia została moją małżonką, wprawdzie poźniey nieco, ale nie barzdzo i poźno. Dusze nasze kochały się jeszcze z młodzieńczym zapałem.

„Tak tedy skończyła się, moja historya, albo raczey historya bobu, ale *nota-bene*, jeszcze mała okoliczność. Muszę wam powiedzieć, że dziécie, którém mię obdarzyła Zosia, urodziło się ze znamieniem na piersiach, zupełnie kształt bobu mającém. Dziwna ta igraszka natury, milszą mi tém bardziey uczyniła córkę."

Kiedy pułkownik zakończył powieść, nic już słyszeć nie byłem w stanie; głowa mi się zawracała; czułem nieustanny szum w uszach. Kiedy niekiedy jednak imie Józefiny brzmiało wyraźnie.

Dano znać pułkownikowi, że już pojazd przygotowany.

„Nie puszczę cię, rzekł nasz gospodarz; już bardzo poźno.”

„Jak piękna noc! odpowie pułkownik, księżyc wybornie przyświeca.”

Powiedziano mi także, iż i móy powoz przy bramie. Zbliżyłem się do pułkownika, wziąłem go za rękę i zapytałem: czy się zowie Farnau. Potwierdził to skinieniem.

„Zaklinam cię, przenocuy u mnie, rzekłem, konieczna jest w tém potrzeba.” Głos móy tak był uroczysty i razem tak zmieniony, iż P. Farnau, nie wiedział, co ma myślić o mnie, obstawał uporczywie za powrótem do domu, co mię w rozpacz wprawiało.

„Proszę, rzekłem, biorąc go na stronę. Pokazałem mu bob, zawieszony na moich piersiach. „Czy widzisz, nie jestto prosta natury igraszka, „przeciwnie: jest to igraszka przeznaczenia. I ja „także bob noszę.”

Wlepił w móy kleynot oczy, zachwiał głową i rzekł: „Podobnym talizmanem, można nawet po śmierci, duch móy zaklinać. Zostaję, wszędy za tobą gdzie zechcesz póydę.”

„Wyszedł z gospodarzem, kazać wyprządz konie, że zaś moje postępowanie mogło mu się wydać dziwném, wypytał się o mnie. Radca tak był dobry, iż mówił na mą stronę; postrzegłem to, gdy wchodzili do pokoju. P. Farnau miał humor, tak luby i wesoły, jak przedtém. Podał mi szklankę pończu, mówiąc: „Za„zdrowie bobów, *nota-bene*, i tego co one zna-

„czą.” Trąciliśmy szklankami. Począłem nabierać życia.

„Więc Pan jesteś Walterem? przydał po chwili.

„Tak jest, do usług.

„Rok może temu, jak byłeś w Wiedniu.”

„Tak jest.” Po tey odpowiedzi, zdało mi się, żem był dotknięty ogniem.

„Właśnie téż, moja bratowa, wiele o panu mówiła.

„Mieszkałeś w jednym z nią hotelu. Okazywałeś wiele dla niey względów; dobra kobietka, podziękuje ci za to.”

Rozmowa zaczęła się znowu powszechna, i trwała, póki się wszyscy nie rozeszli. P. Farnan udał się do mnie; zaprowadziłem go do przeznaczonego dlań pokoju.

„No! i cóż; dogodziłem twym chęciom, cóż tam tak ciekawego masz do mnie?”

Począłem prawić o mojey piérwszey do Wiednia podróży, o Józefinie, o jey ciotce.....

„Wiém o wszystkiém, odpowiedział; lecz co u licha za związek tego z bobem, któryś mi pokazywał....”

Wtenczas zupełne zrobiłem wyznanie.

„Wiém o tém; lecz bob! bob!

Opowiedziałem mu drugą podróż do Wiednia.

Począł się śmiać i serdecznie mię ściskać.

„Dosyć już na ten raz. Jutro obszerniey o tém pomówiémy; bo, sam wiész, że nic na to powiedzieć nie jestem w stanie. Czegoż chcesz odemnie? Jutro pojedziemy razem do mnie: obaczysz Józefinę, poznasz moję Zosię! Oczywista rzecz, iż musisz się poznać.”

Rozłączyliśmy się. Położyłem się; spałem naygorzey; sen móy ustawicznemi był przerywany marzeniami.

„Panie Walter, rzekł do mnie P. Farnau przy śniadaniu, mów ze mną szczérze: wiém że jesteś bogaty; widzę żeś młody; dowiedziałem się, iż jesteś uczciwym i powszechnie szacowanym człowiekiem. Teraz dowiaduję się, że się kochasz. Lecz tego nie dosyć jeszcze do...."

„Nie pochodzę ze znakomitego rodu" rzekłem przerywając.

„Nie, móy Panie! ktokolwiek się odznacza przymiotami umysłu i szlachetnością uczuć, może się obeyśdź bez pargaminów. Jam tylko prostym był szlachcicem, a jednak hrabianka Zofia mię kochała."

„Czegoż mi nie staje?"

„Powiem ci otwarcie: inaczey rzecz się ma z twoim, jak z moim bobem. Móy był dziełem Opatrzności; z probierczego kamienia, został węgielnym kamieniem stateczney miłości. Był to wreszcie świat, rozgraniczający dwa skojarzone serca, i niejako igłą magnesową, wiodącą je ku sobie. Twoja zaś miłość jest igraszką twey imaginacyi. Żyłem dla Zosi od pierwszey, jakem ją poznał, chwili. Gdy przeciwnie: ty dopiéro w rok pomyślałeś o kochaniu Józefiny. Widzisz, że temu nic zarzucić nie można. Opamiętasz się uyrzawszy mą córkę; istota niebieska, którą ci twoja utworzyła imaginacya, zamieni się zwyczaynie w osobę, jakich jest pełno na ziemi. Nakoniec, aby ciebie zbić odrazu, Józefina, *nota-bene*, nie kocha cię."

„ Ach! to okropnie, zawołałem z westchnieniem, jestżeś o tém zapewniony?"

„ Pojedziemy dziś do mnie, przekonasz się. To co wiém o tobie, o twojém w Wiedniu pobycie, dowiedziałem się od mojey bratowey, a nie od córki, która może, ledwo pamięta twe nazwisko; zresztą mamy niebezpiecznego sąsiada, młodego hrabiego Holten. Odwiedza nas bardzo często; podoba się mey córce, którą nie raz widuje, przypatrującą się jemu z uciechą, przez kilka w ciąż minut. Kiedy postrzeże, że patrzę na nią, rumieni się i odchodzi z uśmiéchem, nucąc.

„ Jeśli tak jest, Panie, odpowiedziałem po długim namyśle, nie mam po co jechać. Wolę już nie oglądać twey córki."

„ Mylisz się. Szanuję twoję spokoyność. Trzeba, abyś ją obaczył, dla sprostowania swey imaginacyi i uleczenia jey zupełnie."

Po długich jeszcze sporach, wyjechaliśmy. Był to piękny poranek czerwcowy. Dziwiłem się niezmiernie, spokoyności i rozweseleniu mey duszy. Od roku nie kosztowała tey słodyczy. Zastanawiając się nad sobą, postrzegłem, żem w Wiedniu nie kochał Józefiny, i teraz nawet powątpiéwać zacząłem.

Powoz stanął przed wieyskim, bardzo porządnym domem. P. Farnau zaprowadził mię do pokoju, w którym się dwie podeszłe znaydowały damy i uprzeymie nas przyjęły.

P. Farnau, powiedział im moje nazwisko, a ściskając starszą, zawołał: „ Oto moja Zosia!"

Skłoniłem się z szacunkiem przed osobą, która z wczorayszey powieści, tak dla mnie była

interessującą, i rzekłem w sobie wzdychając: „Cóż jest ta młodość i piękność!”

Zdało mi się, że P. Farnau wyczytał z mych oczu znaczenie westchnienia. Wziął rękę żony, ucałował ją i rzekł z uśmiéchem: „Czyż nie prawda, móy przyjacielu, że kiedy widzimy starych, nie można przypuścić, iż kiedyś byli młodzi; a kiedy widzimy piękność i świeżość młodey panienki, gotowibyśmy się założyć, iż nigdy nie będzie miała ani zmarszczków, ani siwizny?”

Poznaliśmy się z ciocią Józefiny. Wiele mi powiedziała grzeczności; zaczęliśmy śniadanie, któremu towarzyszyły damy.

„Gdzie się podziała Józefina? zapytał P. Farnau. Zdaje mi się, że byłaby kontenta, widząc dawnego znajomego z Wiednia.”

„Jest ona teraz, odezwie się ciotka, z hrabią Holten w ogrodzie. Musi jeszcze, nim słońce bardziey się podniesie, skropić *renonkuły.*” Na te słowa, lekkie uczułem wstrząśnienie. Wszystkie moje znikły złudzenia. Wszelako prędkom przyszedł do siebie. Poczynałem wstydzić się dziecińnstw mojego serca, i czczych układów imaginacyi. Wmieszałem się do wesołey i wolney rozmowy, powiedziałem nawet ciotce, iż w czasie powtórney w Wiedniu bytności, byłem niespokoyny gdym jey nie znalazł.

Gdyśmy tak rozprawiali, wszedł młodzieniec znakomitey powierzchowności. Twarz jego była blada, wzrok posępny i nie żywy, w całey osobie nadzwyczayne malowało się pomieszanie.

„Pozwolą mi Panie, rzekł prędko, i gło-

sem jednostaynym, jak gdyby wprzódy ułożył co ma mówić, pożegnać siebie. Odjeżdżam dziś do stolicy. Mam ..... jestem .... przez długi czas może zabawię. Będzie to podróż może daleka."

P. Farnau patrzył nań nie poruszony: „Co ci tak dolega panie brabio? wyglądasz teraz tak, jak gdybyś kogo zabił."

„Nie, odpowie hrabia z wymuszonym uśmiéchem; owszem wyglądać muszę jak zabity."

W tém pocałował ręce obu dam, ścisnął P. Farnau i wyszedł nic nie mówiąc. P. Farnau wybiegł za nim. Damy były w wielkiey niespokoyności. Dowiedziałem się, iż hrabia przyjechał tam wczoray w wieczor, jak za zwyczay; że zrana godziną wprzódy był bardzo wesół, i że nie poymowano zgoła tey nagłey zmiany.

„Cóż mu się stało? zapytały damy P. Farnau, który po dość długiém zabawieniu wrócił do pokoju. Uderzyła mię jego twarz surowa. Skinął głową i rzekł, śmiejąc się do żony: „Zapytay Józefiny."

„Jak to! odezwie się przerażona matka, miałażby go urazić?"

„Coś nakształt tego, ale historya zbyt długa. Hrabia mi ją w tey treści zawarł: „Kochałem, bez wzajemności."

Drzwi się otworzyły, Józefina weszła. Znalazłem ją tysiąc razy pięknieyszą, jak w Wiedniu, i przyjemnieyszą, jak we snach. Pośpieszyłem ku niey, nogi mi zadrżały, nie mogłem daley postąpić, jąkałem coś niezrozumiale. Byłem nayszczęśliwszy i naynędznieyszy z ludzi.

Józefina została przy drzwiach zarumienio-

na; wlepiła we mnie, jakby w jakie widmo oczy. Wróciwszy do przytomności, zbliżyła się do stołu z uśmiéchem. Po piérwszych grzecznościach, zagadka naszego niespodziewanego widzenia się odkrytą została. Oświadczyłem jey, iż wczoray dopiéro dowiedziałem się o mieyscu jey pobytu. Odpowiedziała mi, iż interessa familiyne zmusiły oyca, do przedania majątku w Morawii, po czém już osiadł w tey prowincyi.

„Ach! ciociu, zawołała, ściskając ją, czyżem „nie mówiła, a cóż nie prawda?" I w tey chwili patrzała na mnie, pełném radości okiem.

Dobra ciotka, nic nie odpowiedziała, lecz spóyrzała z uśmiechem na Józefinę. Matka spuściła oczy, aby ukryć pewne pomieszanie. Oyciec poglądał na nas pilnie. Wstał nareszcie i rzekł mi cicho do ucha: „P. Walterze, jak widzę, znalazłeś mieysce, gdzie był bob ukryty!.... Lecz Józiu! coście tam porobili z hrabią? wszakto tak prędko wyjechał."

Józefina zbyła nic nie znaczącą odpowiedzią. Powstali wszyscy i wyszliśmy do ogrodu; zostając nieco w tyle z Józefiną.

Postanowiłem bardzo bydź z nią ostróżnym, bom się lękał losu hrabiego. Mówiliśmy o naszym pobycie w Wiedniu, o przechadzkach, rozmowach, małych przygodach. „Ach! rzecze Józefina, żebyś wiedział, ilem cierpiała, kiedyś nam tak nagle odjechał. Pewno, że nie było odtąd.. Tak, często mówiłyśmy o tobie."

Wówczas, mógłżem postąpić inaczey? opowiedziałem, co mi się przytrafiło, moję powtórną podróż do Wiednia, przydałem, że stałem w jey pokoju, mówiłem o znalezionym bobie,

o powrócie do domu i o wczorayszym wieczorze.

Po skończeniu opowiadania, nie śmiałem podnieść na nią oczu. Byłem jak na szpilkach. Józefina długo milczała.

Posłyszałem łkanie, spóyrzałem. Trzymała chustkę przy oczach. „Na imie Boga, Pani, może ci się moja otwartość niepodobała?”

Odjęła chustkę i patrzyła na mnie ze łzami. „Czy to tylko prawda? zapytała. Dobyłem bob z zanadrza, i pokazując rzekłem: „Ten niech zaręczy!”

Wzięła go, jak przez ciekawość. Płakała rzewnie. Wreszcie sparła się na mém ramieniu i rzekła: „Walterze, wierzę w Opatrzność.”

Uściskałem ją, gdy w tém między drzewami słyszymy głos rodziców tuż przechodzących, przyłączyliśmy się więc do nich. Józefina trzymała jeszcze za sznurek, co urzawszy P. Farnau śmiać się głośno począł. Józefina padła w objęcia matki. Nie mam wam już więcey nic powiedzieć. Wiecie, że Józefina jest moją małżonką. Lecz nie wiecie, i nikt z was pojąć nie jest w stanie, jak jestem szczęśliwy!

Tren rozpaczy zakochanego Chryzostoma.

(z *Cerwantesa.*)

1.

Ach, okrótnico! chcesz, by moje męki,
By wzrok twóy dumny, kamienna nielitość,
Przeszły od wieku do wieku w przysłowie,
Wywołam z głębi piekła wszystkie jęki,
Wszystkie łzy zbiorę w serca mego skrytość,
Łzy dawniey obce pieśni mych wymowie.

Włosy słyszącym zjeży strach na głowie,
Gdy klnąc twą srogość, zwodniczą nadzieję,
Krzyknę odgłosem piorunnego gromu,
I z rozwodzeniem skarg moich ogromu,
Wnętrza stargane w wzdychaniach wyleję.
Nasyć więc ucho niepochlebnym śpiewem,
Nie miękkim żalem, lecz ognia wyziewem,
Który w drgających piersi moich szumi,
Ten szał mey głowy w miłości pożarze,
Bogday cię skarze — I ból móy przytłumi.

2.

Uderzcie społem, wtórując mey doli,
Lwów ryki krwawe, wycia wilkow wściekłe,
Ksykania zjadłych smoków przeraźliwe.
Z jakiém zgrzytaniem zmora nocna skoli,
Gardła ranionych bykow krwią ociekłe,
Szumiącey fali klaskania burzliwe.
Wdów synogarlic skargi utęskliwe,
Krukow zło-wrogich frasowne żałoby,
W pustych samotach huczący puhacze,
I wszystkich razem wiecznych męczarń płacze,
Wystrzelcie na wierzch przez otwarte groby.
Zmieszanych żalow jeden zgiełku nowy!
Zagrzmiy z mey duszy chrapliwemi słowy,
Przeraź powietrze społem i z osobna,
Serca zwartego nieznośnym ciężarem,
Tym chyba gwarem — Wydać żal podobna.

3.

Nigdy, ach! nigdy tak smutnych odgłosow
Twe niesłyszały, złoty Tagu! piaski,
Ni twe, Behydo, porzecza oliwne.
Jakie ja wydam bolejąc mych ciosow

Siniemi usty, okropnemi wrzaski;
Zbiegły w wąwozy i manowce dziwne.
W skały mieszkaniu człowieka przeciwne,
Gdzie dzień nie dóyrzy, gdzie wiatr nie doskoczy,
W srogie kniejami dzikich źwierząt jary,
Zabrnę w muliste trzęsawic rozpary,
Gdzie się odwiecznie przewija ścierw smoczy.
Tam na cię łzami będę się unaszał,
Cisze pustyni skargami ogłaszał,
Póki mi płacąc dni starganych szkodę
Rozległa ziemia nie zabrzmi ogromnie
I zyska po mnie — Cierpień mych nagrodę.

4.

Pastwi się wzgarda, czarne podeyrzenia,
Zasiały piekło w naycierpliwszey duszy,
Jeszcze ją zazdrość morduje zawzięciy.
Struła dni smutne gorycz oddalenia,
Żaden mi promyk nadziei nie suszy
Łez, pobudzonych żalem niepamięci.
Każdy cios taki, śmierć żądaną nęci,
Ja wszystkie cierpię wraz, i żyję jeszcze.
Żyję, bym karmił razem wzrok jey hardy,
Zawiść, szyderstwa, podeyrzenia, wzgardy,
Co mi ogniste topią w piersiach kleszcze.
Któż mię z tey doli wydzwignie, daremnie,
Marna nadziejo! przestań szydzić ze mnie.
Czego się więcey nieszczęsny doczekam?
Raczey w zgubionych zagarnion kolei,
Wszelkiey nadziei wiecznie się wyrzekam.

5.

Gdzie pokoy z woyną, gdzie z nadzieją bliska
Mieszkała rozpacz? Próżno rozum walczy,

Gdy przekonanie odwagę odbiera,
Żartli szeptania? żartli obmowiska?
Żartli szyderstwa? których jad padalczy
Tysiączną ranę w mém sercu otwiera.
Komu żal całey duszy nie rozdziera
Na codzień nową boleści przyczynę,
Na dumne oko co w rzetelność zmienia
(Nieszczęsna zmiano!) wszystkie podeyrzenia,
Na daną świętey prawdzie fałszu winę?
Srogie władarki w kochania krainie,
Wzgardo! zawiści! nieludzkie mistrzynie
Daycie nóż, powróz; to wasze pociechy!
O ja nieszczęsny! takiemi sposoby
Straszney choroby — Tamować pośpiechy.

6.

Przemogłaś; ginę! lecz straceniec wieczny
Na tym i drugim świecie bez otuchy,
W śmierci nie zmienię mego przekonania.
Nayczyściey widzi miłośnik stateczny
Serce nayzdrówsze, co dzwiga łańcuchy
Pod starem berłem wiernego kochania.
Nie zmienię słowa, że mego wzdychania
Przedmiot ma serce niebianki i postać,
Że jey niełaski początek w mey winie,
Że władza rzeczy w miłości dziedzinie,
Bez kar surowych nie może się ostać.
Nie zmienię zdania: i nożem lub węzłem
Znosząc niedolą, w którey tak ugrzęzłem,
Daruję modły i żałośne psalmy,
Daruję wiatrom duch i proch niedbały,
Na ziemskie chwały — I niebieskie palmy.

7.

O! którey niechęć tak mię srodze łomie,
I pędzi rychło dokonać ostatka
Bolow, śmiertelnym bijących mię potem,
Patrzay na ranę rozdartą łakomie!
Małoż twey władzy jeszcze tego świadka,
Jakim twóy urok ściga mię kłopotem?
Więc zdam się, kiedy złożony twym grotem
Wart, by niebieskich twych oczu spóyrzenia,
Zgon móy zachmurzył, zrzewniły przygody,
Ach! nie czyń tego; nie żądam nagrody
Za ten dar lichy obrzydłego tchnienia.
Szydź raczey, smiey się na moim pogrzebie:
Chwal się, że zguby mey przyczyna z ciebie.
Prostak ja! ronić daremny głos w parach
Właśnie, bym nie znał, że to jey naymiley,
By mię tey chwili — Widziała na marach.

8.

Sam więc tey chwili! co was otchłań kryje
Wyydzicie, Tantalu z wygłodniałem czołem,
Syzyfie z głazem lecącey w dół skały;
Wlecz, Tyty, sępa, co ci trzewa ryje;
Spiesz, Ixionie, chyżym zjęty kołem;
Sam, siostry, coście czczém wiadrem pluskały;
Przełożcie wszystkie niezgasłe upały
Do serca mego, i bełkocąc srodze,
Sprawcie mi pokład i obrzęd pogrzebny,
(Rozpacznikowi jeżeli potrzebny)
I rzuconemu ciału na rozdrodze,
Niech piekielnego troyny grom przystawa
I całych potwor szkaradnych obława,
Pokoy chorowym głosem mi zawyje,

Jak się pogrzeb przyzwoitszy zdarzy
Dla tych nędzarzy — Których miłość bije.

9.

Rozpaczny trenie! żalu niefortunny!
Samotny gościu jedney ze mną trunny,
Nie wołay pomsty łez wylanych hoynie
Zgon-li móy raczey czoło jey rozjaśni
Złóż się i zgaśniy — Obok mię spokoynie.

Frasunek do Laury. (*z Angielskiego.*)

Nie śmiey się, przebóg! do mych oczu smutnych,
Nie zdołam ci się odśmiechnąć wzajemnie.
Lecz, Bóg ci nie day! wspomnień twych okrutnych
Płakać i płakać podobno daremnie.
A pytasz? co to za skryte męczarnie,
Żrą mi wesele i młodość mą trawią,
I żałość moję chcesz odgadnąć marnie,
Którey ulżenia śmiechy twe nie sprawią.
Ani to miłość, ni nienawiść przecie,
Ni podłey straty znaczenia żal niecny,
Hydzą mi wszystko, co naydroższe w świecie,
I kląć mi każą móy pobyt obecny.
Jest to ta nuża, co rozsiewa wstręty
Na wszystko, co tknę, co słyszę, co widzę,
Piękności samey nie wabią mię nęty,
Twych oczu blaskiem ledwie się nie brzydzę.
Jest to niepokoy, na który sposobu,
Ów zbieg hebrayski nie znalazł, ni przerwy,
Co nie śmie zayrzeć na drugi brzeg grobu,
Lecz się tu począć nie spodziewa pierwey.

Któryż zbieg kiedy zdołał zbiedz od siebie?
Próżno w naydalsze strony los mię żenie,
Sciga mię wszędzie, gdzie się bądź zagrzebie,
Trucizna życia, móy zły wrog myślenie.
Niech inni wierzą rozkoszy lot wstrzymać,
Wiecznie się cackiem, co rzuciłem, łudzić,
Oby wciąż mogli w tym uroku drzymać.
Nigdy się, jak ja przynaymniey, niezbudzić.
Ja nie znam, tylko z krain w kraje biegać,
Klęty nie jedną wstecz myślą i szałem,
I całą dla mnie pociechą postrzegać
Że, bądź co będzie, naygorsze poznałem.
Cóż to naygorsze?—Ach! wiedzieć nie żąday,
Przez litość hamuy chęć nader zaciekłą.
Wdzięcz się, przymilay; ale nie zaglą day
W serce człowieka, w którém uyrzysz piekło.

Z Szekspira.

Wysokość nadbrzeżney góry w Dower.

Wniydź, panie; tu wierzch skały. Stóy, nie rusz się krokiem.
Jak straszno i okropnie rzucić w ten dół okiem!
Kruki, sępy wśród niskiey snujące się chmury
Ledwie ztąd są, jak chrząszcze. W pół powietrzney góry
Czepi się któś: kopr zbiera. Ciężki chleb! przebogi!
Ztamtąd nie większy od swey wydaje się nogi.
Na pobrzeżu, jak myszki, róy rybakow smyka.
Wielki na kotwi okręt mnieyszy od bacika:
Statkow przy nim nie dóyrzysz. Co w skalny brzeg wali,
Z tego mieysca nie słychać szumu huczney fali,
Nie śmiem drugi raz spóyrzeć; wzrok gaśnie, myśl ginie.
Zawrót mozgu strąci mię na łeb w tę głębinię.

Niektóre myśli i zdania męžczyzn o kobietach.

— Kobiéty dla jednych są źródłem nadziei, dla drugich przypomnień: w młodości lubią słuchać opowiadań, w poźnieyszym wieku same lubią rozprawiać: ginie ten, co im się tylko poświęcił, lecz i ten nie naylepiéy wychodzi, co od nich zupełnie chce stronić: trudno w tém utrzymać miarę: zawsze jest, albo cóś nadto, albo czegoś nie dostaje: zawsze ci one sprawią, albo nadto dobrego, albo wiele złego.

— Kobiéty, žartujące z miłością, są nakształt dzieci, bawiących się z nožem: zawsze w końcu zranić się muszą.

— Žycie kobiéce na trzy epoki podzielić možna: w pierwszey o miłości myślą; w drugiey nią się zaymują; w trzeciey o niey rozpamiętują i žałują.

— Męžczyzna, pozbawiony edukacyi lub dobrego wychowania, z nieokrzesaniem swoiém zawsze się wyda w miłości: lecz na chwałę kobiét powiedzieć možna, iž miłość wykształca, podnosi, uzacnia i poloruje ich obyczaje.

— W młodości kobiéty lubią się stroić dla podbicia męžczyzn; w dalszych latach dla ich utrzymania; w starości jeszcze nie gardzą strojem: bo ten im wdzięczne rozpamiętywania nastręcza.

— Są kobiéty, dziwną w samym dźwięku głosu posiadające władzę: poruszają i zniewalają serce, i miłość ku sobie wzniecają pierwiey, nim się widzieć dadzą.